

Oni nie jadą nawracać, burzyć lokalny świat, lecz w duchu Ewangelii krzewią miłość i pojednanie oraz wspierają w morzu codziennych potrzeb.

Pomnikowi samarytanie



JACEK PAŁKIEWICZ

Podróżnik, odkrywca, reporter

Mam wyrzuty sumienia. Szesnaście lat temu napisałem w *Newsweeku* o polskich misjonarzach werbistach na Czarnym Kontynencie. O spartańskich warunkach, zabójczym klimacie, chorobach czy chwilach zwątpienia, które mogą przygasić nawet nieugaszony zapał misyjny. Planowałem przygotować podobny materiał z Amazonii, ale w nieustannym pośpiechu, zajęty innymi tematami, zupełnie go przegapiłem.

Powtórzę to, co już kiedyś powiedziałem. Gdybym był arcybogaty, to za tytaniczną pracę tych krzewicieli wiary, ludzi niezwyklego charakteru, wzniósłbym im pomnik ze szczerego złota. Tymczasem pierwszy zdejmuję przed nimi czapkę. Poznałem ich wymiar jeszcze w Polsce, kiedy w Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie prowadziłem wykłady na temat sztuki przetrwania w regionach dalekich od cywilizacji. Oni nie jadą nawracać, burzyć lokalny świat, lecz w duchu Ewangelii krzewią miłość i pojednanie oraz wspierają w morzu codziennych potrzeb. Nie próbują nikogo na siłę reformować na europejską modłę, czerpią radość z pomocy bliźnim. Dlatego budują szkoły, ośrodki zdrowia, przedszkola, domy opieki nad niepełnosprawnymi dziećmi i starcami, internaty dla sierot czy chorych na AIDS. I oczywiście kościoły, bo odczuwają potrzebę głoszenia wiary wśród ludności żyjącej bez jasno wytyczonej drogi, ufającej dawnym wierzeniom we wszechpotężne bóstwa, które rzekomo chronią ich domostwa od wszelkich złych duchów.

Ojciec Krystian Traczyk z Zimbabwe zauważa: „Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim. Nieraz chciałoby się obrobić jakiś bank, ale uczono mnie: nie kradnij. Boję się Sądu Bożego, a także policji w Zimbabwe”. Misjonarz jest na wskroś autentyczny – z ludźmi z buszu trzeba rozmawiać najprostszym językiem.

Niezatarte wrażenie wywarł na mnie o. Maciej Malicki, także werbista, niepowtarzalna osobowość, która łamie powszechne stereotypy figury kapłańskiej, realizując nie tylko misję Kościoła, ale również doskonaląc swo-

je talenty twórcze: fotografię, muzykę, malarstwo. Dziś o. Malicki ma 51 lat i od 21 działa w Plumtree, w Zimbabwe. Przypomina gwiazdora muzyki pop i kiedy wsia- da na swoją yamahę virago 750 albo gra na gitarze utwór hardrockowy, trudno uwierzyć, że to z krwi i kości sługa Pański.

„Afryka nauczyła mnie na nowo bycia księdzem” – wyznał. To tu zrozumiał, że Pan Bóg i ludzie, wśród których żyje, oczekują od niego po prostu bycia dobrym człowiekiem. Musiał niejednokrotnie przewracać do góry nogami swój system wartości. To, co jest ważne w Europie, w Afryce nie musi mieć tej samej wagi. Mógłby liczyć na akceptację potomków Zulusów tylko wówczas, gdyby przyjął ich sposób bycia. „Nieraz ze strachem próbowałem odnaleźć granice przyzwolenia ich wierzeń, których nie wolno mi przekroczyć” – zwierzał się.

Postawa misjonarzy czasem wywołuje niechęć duchownych w Polsce. Ojciec Jasiu, czyli Janusz Prud z Serawe, wspominał, że gdy był w swojej parafii na obiedzie, jak zwykle zresztą bez koloratki i sutanny, został przedstawiony biskupowi jako „nasz kapłan”. „Ja tego nie dostrzegam” – odnotował chmurnym tonem zwierzchnik diecezji. „Ja nim zwyczajnie jestem, a po co miałbym to podkreślać” – skwitował tchnący autentyzmem misyjnego powołania duchowny. Inny z moich rozmówców wywołał konsternację, kiedy zapytał, czy proboszcz ma piwo do obiadu.

Na misjach duszpasterz jest do dyspozycji 24 godziny na dobę. Na liturgicznych spotkaniach ludzie zwracają się do Boga w atmosferze radości, śpiewają i tańczą. „Dlatego – jak zauważył o. Maciek – Msza św. polska w porównaniu z tą w Zimbabwe jest jak nabożeństwo pogrzebowe, w którym w dodatku uczestniczą głuchoniemi, co ani pary z gęby, ani nogą tupnąć nie mogą”. **n**